

Henry Hazlitt

INFLACJA
Wróg Publiczny Nr 1

Przekład
Jan M. Fijor

Fijor PUBLISHING

Rozdział 1

Co to jest inflacja?

Nie ma dziś zagadnienia energiczniej dyskutowanego, a jednocześnie tak źle rozumianego, jak inflacja. Politycy w Waszyngtonie rozmawiają o niej, jak gdyby była jakąś straszliwą zjawą pochodzącą z zaświatów, czymś – jak powódź, zaraza czy najazd wrogich wojsk – nad czym nie mają żadnej kontroli. Inflacja to coś, z czym obiecują nam „walczyć”, rzecz jasna pod warunkiem, że Kongres, czy sam naród, dostarczą im odpowiedniej „broni” albo „silnego prawa”, które w tej walce pomogą.

Tymczasem prawda jest taka, że inflacja została powołana do życia przez naszych przywódców, przez ich własną politykę monetarną i fiskalną. Obiecują nam zatem, że prawą ręką będą zwalczać to, co podają nam lewą ręką.

To, co nazywają inflacją, jest, zawsze i wszędzie, wywołane głównie poprzez wzrost podaży pieniądza i kredytu. Prawdę mówiąc, inflacja *jest* właśnie wzrostem podaży pieniądza i wielkości kredytu. Posłużmy się, przykładowo, *American College Dictionary*¹. Znajdziemy w nim następującą definicję inflacji: „Szkodliwa *ekspansja*² lub wzrost ilości waluty krajowej, wywołany w szczególności drukiem pieniądza papierowego, nie dającego się wymienić na twardy pieniądź”.

¹ Popularny słownik języka angielskiego – przyp. tłum.

² Podkreślenia pochodzą od Henry'ego Hazlitta.

Jednakże w ostatnich latach pojęcia tego zaczęto używać w radykalnie odmiennym znaczeniu. Przedstawione jest ono w drugiej definicji podawanej przez *American College Dictionary*, mianowicie: „Znaczny wzrost cen wywołany szkodliwą ekspansją pieniądza papierowego lub ekspansją kredytu”. Widzimy więc, że wzrost cen *spowodowany* ekspansją podaży pieniądza nie jest tożsamy z samą ekspansją podaży pieniądza. Przyczyna lub warunek nie jest przecież identyczny ze swoją konsekwencją. Te dwie definicje inflacji, różniące się całkowicie swoim znaczeniem, są źródłem niekończących się nieporozumień.

Słowo *inflacja* odnosiło się początkowo wyłącznie do ilości pieniądza. Mówiło się, że wolumen pieniądza jest *napompowany*, nadmuchany, przesadny. To, że domagam się powrotu do oryginalnego znaczenia terminu „inflacja”, nie ma nic wspólnego z moją pedantycznością. Używanie terminu „inflacja” w znaczeniu: „wzrost cen” odwraca uwagę od prawdziwej przyczyny inflacji oraz od lekarstwa, które mogłoby ją uleczyć.

(Jednakowoż muszę tu ostrzec czytelników, że słowo *inflacja* jest dziś powszechnie stosowane w znaczeniu „wzrost cen”. I z tego powodu bezowocnym i czasochłonnym wydaje się unikanie tego znaczenia lub poprawianie go na każdym kroku. Termin ten używany jest, jeśli chodzi o ścisłość, niemal powszechnie w dwóch znaczeniach; raz w znaczeniu pierwszym, to znaczy, gdy chodzi o wzrost wolumenu pieniądza, i drugi raz, z tym że znacznie częściej, gdy chodzi o wzrost cen. Osobiście stwierdzam, że uchronienie się od popadania w tę dwuznaczność jest zajęciem beznadziejnie trudnym. Jedynym do przyjęcia kompromisem, w tym drugim znaczeniu, zwłaszcza dla tych, którzy odczuwają potrzebę odróżnienia rozmaitych sensów terminu „inflacja”, będzie użycie pojęcia *inflacji cenowej* dla odróżnienia od zwykłej inflacji. Starłem się to czynić w kolejnych rozdziałach, choć obawiam się, że pewnie nie zawsze konsekwentnie).

Zobaczmy teraz, co się dzieje pod wpływem inflacji, i dlaczego tak się dzieje.

Z chwilą wzrostu podaży pieniądza ludzie posiadają więcej pieniędzy, za które mogą nabywać dobra. Jeśli w tym samym czasie ilość dóbr nie wzrośnie – albo nie wzrośnie w stopniu równym wzrostowi podaży pieniądza – ceny dóbr wzrosną. Każdy jeden dolar stanie się mniej wart, gdyż teraz jest tych dolarów więcej. Z tego powodu, powiedzmy, za każdą parę butów czy sto buszli pszenicy oferowanych będzie więcej dolarów. „Cena” jest wskaźnikiem wymiany (*exchange ratio*) między dolarem a jednostką danego dobra. Posiadając więcej dolarów, ludzie cenią każdy z nich mniej. Prowadzi to do wzrostu cen dóbr, nie dlatego, że jest ich (dóbr) mniej niż przedtem, lecz dlatego, że dolarów jest więcej, a stąd są one warte mniej.

W dawnych czasach rządy wywoływały inflację poprzez oszustwa przy biciu monet albo redukowaniu ich wartości. Później odkryły jednak, że ten sam efekt można osiągnąć znacznie taniej i szybciej poprzez drukowanie pieniędzy papierowych. To właśnie stało się z francuskimi asygnatami w 1789 roku, a także z naszą własną³ walutą w czasie amerykańskiej rewolucji. Współczesne metody są nieco bardziej subtelne. Nasze rządy sprzedają bankom swoje obligacje lub inne papiery dłużne (IOU). W zamian za nie banki płacą rządowi, tworząc w swoich księgach „depozyty bankowe”, z których ten ostatni może korzystać. Bank ze swej strony może te obligacje rządowe czy inne papiery dłużne sprzedać bankowi Rezerwy Federalnej⁴, który płaci za nie albo poprzez stworzenie kredytu depozytowego, albo poprzez druk banknotów Rezerwy Federalnej. Taki jest właśnie mechanizm produkowania pieniądza.

Zasadniczą częścią „podaży pieniądza” w Stanach Zjednoczonych nie jest gotówka, którą płacimy z rąk do rąk, lecz depozyty bankowe, z których czerpie się zasoby, wystawiając w oparciu o nie czeki. Stąd, kiedy ekonomiści mówią o wielkości naszej podaży pieniądza (*money supply*), sumują depozyty na żądanie (a ostatnio tak-

³ Chodzi rzecz jasna o Stany Zjednoczone – przyp. tłum.

⁴ Amerykański bank centralny, prywatny bank zarządzany przez mianowanych przez prezydenta USA gubernatorów – przyp. tłum.

że depozyty czasowe) z wolumenem gotówki znajdującej się w obiegu (poza bankami). Całkowita wartość pieniędzy i tak mierzonego kredytu, wliczając w to depozyty czasowe, w końcu grudnia 1939 roku wynosiła 63,3 miliardy dolarów, w końcu grudnia 1963 roku – 308,8 miliardy dolarów i 806,5 miliardy dolarów w końcu grudnia 1977 roku. Ten wzrost podaży pieniądza wynoszący 1174 procent jest zasadniczym powodem, dla którego ceny hurtowe, w omawianym okresie, wzrosły o 398 procent.

Pewne zastrzeżenia

Panuje przekonanie, że traktowanie wzrostu ilości pieniądza jako wyłącznego winowajcy powstania inflacji jest grubym uproszczeniem. To prawda. Trzeba zatem pamiętać o szeregu zastrzeżeń.

Przykładowo, należy pamiętać, że „podaż pieniądza” to nie tylko ilość gotówki w obiegu, lecz także podaż kredytu bankowego. Odnosi się to szczególnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie większość płatności dokonywana jest przy użyciu czeków.

Uproszczeniem jest także mówienie, że wartość jednostki pieniężnej (dolara) zależy wyłącznie od *aktualnej* ilości pieniądza znajdującego się w obiegu. Otóż, wartość ta zależy także od podaży dolara *oczekiwanej w przyszłości*. Jeśli duża liczba ludzi obawia się, że – przykładowo – podaż dolara za rok, w stosunku do podaży dzisiaj, wzrośnie⁵ jeszcze bardziej, wówczas aktualna wartość dolara (mierzona jego siłą nabywczą) będzie niższa, niż by to wynikało z obecnej ilości pieniądza w warunkach wolnych od takich obaw czy przewidywań.

Co więcej, wartość jednostki monetarnej, takiej jak dolar, zależy nie tylko od *ilości* dolarów, lecz także od ich *jakości*. Z chwilą, gdy jakiś kraj odchodzi, przykładowo, od standardu złota, znaczy to, że jego złoto, lub prawo zamiany pieniędzy na złoto, uległo przekształceniu w papier. W takich przypadkach wartość jednostki monetarnej

⁵ Tak jak to ma miejsce chociażby teraz, to jest w 2007 roku – przyp. tłum.

natychmiast spada, nawet jeśli nie nastąpił wzrost podaży pieniądza. Dzieje się tak, ponieważ ludzie mają więcej zaufania do złota niż do obietnic rządowych lub do poglądów urzędników państwowych zarządzających polityką monetarną. Nie znamy chyba ani jednego przypadku, który by dowodził czegoś przeciwnego; odejściu od standardu złota towarzyszy zwykle wzrost podaży kredytu bankowego i ilości drukowanych pieniędzy papierowych.

Krótko mówiąc, wartość pieniądza zmienia się zasadniczo z tych samych powodów, co wartość każdego innego towaru. Tak jak wartość buszla pszenicy zależy nie tylko od jej obecnej podaży, lecz także od podaży oczekiwanej w przyszłości i jakości ziarna, tak wartość dolara zależy od zmiany podobnych czynników. Wartość pieniądza, podobnie jak wartość innych towarów, nie zależy wyłącznie od czynników mechanicznych czy fizycznych, lecz przede wszystkim od skomplikowanych czynników natury psychologicznej.

Zajmując się przyczynami inflacji czy sposobami jej likwidacji, należy pamiętać o tym, aby nie dać się zmylić lub zdominować przez zbędne lub nieistniejące komplikacje.

Przykładowo, mówi się często, że wartość dolara zależy nie tylko od ilości tej jednostki pieniężnej, lecz także od „szybkości jej cyrkulacji”. Jednakże wzrost szybkości cyrkulacji pieniądza nie wpływa na dalszy spadek jego wartości; szybkość ta jest jedną z konsekwencji lęku o to, że wartość dolara spadnie (albo ujmując to inaczej, lęku o to, że nastąpi wzrost cen towarów). To właśnie takie przekonanie sprawia, że ludzie chętniej wymieniają dolary (pieniądze) na towary. Podkreślanie, przez niektórych autorów, znaczenia szybkości cyrkulacji jest kolejnym przykładem błędnego przypisania realnej przyczynie psychologicznej charakteru mechanicznego.

A oto inna ślepa ścieżka: w odpowiedzi tym, którzy uważają, że inflacja cenowa spowodowana jest głównie wzrostem podaży pieniądza i kredytu, przedstawia się argument, że wzrost cen towarów ma często miejsce, *zanim* nastąpi podaż pieniądza. To prawda. Tak się działo, na przykład, zaraz po wybuchu wojny koreańskiej. Ceny strategicznych materiałów i surowców poszły

w górę z obawy o to, że może ich zabraknąć. Spekulanci i producenci zaczęli je wykupywać i przetrzymywać dla zysku lub zapewnienia sobie odpowiedniego stanu zapasów. *Żeby to jednak uczynić, musieli oni pożyczyć w bankach więcej pieniędzy.* Wzrostowi cen towarzyszył proporcjonalny wzrost wielkości kredytów bankowych i depozytów. Od 31 maja 1950 roku do 30 maja 1951 roku wolumen pożyczek wzrósł o 12 miliardów dolarów. Gdyby tych dodatkowych pożyczek nie udzielono, i gdyby do końca stycznia 1951 roku nie wypuszczono na rynek nowych 6 miliardów dolarów, z których pożyczek tych udzielano, wzrostu cen by nie utrzymano. Był on możliwy, krótko mówiąc, wyłącznie dzięki wzrostowi podaży pieniądza.

Niektóre popularne sofizmaty

Jednym z najczęściej powtarzanych sofizmatów⁶ na temat inflacji jest założenie, że nie jest ona wywołana wzrostem podaży pieniądza, lecz „niedoborem towarów”.

Prawdą jest, że *wzrost cen* (który, jak już wspominaliśmy, nie powinien być utożsamiany z inflacją) może być spowodowany *albo* wzrostem podaży pieniądza, *albo* niedoborami dóbr – a częściowo i jednym, i drugim. Przykładowo, cena pszenicy może wzrosnąć, ponieważ nastąpił wzrost podaży pieniądza, albo mamy do czynienia z nieurodzajem pszenicy. Jednakże z ogólnym wzrostem cen, spowodowanym ogólnym niedostatkiem towarów, mamy do czynienia bardzo rzadko i to nawet w warunkach wojennych. Mimo niewątpliwych dowodów na fałszywość tezy, że inflacja jest spowodowana wzrostem cen, trzyma się ona „dzielnie”. Nie pomaga nawet przykład Niemiec z 1923 roku, kiedy przywódcy rządowi, ale i miliony obywateli, winą za wzrost cen setki miliardów razy obarczali ogólny niedobór towarów, zapominając uparcie, że w tym samym czasie do Niemiec przyjeżdżały rzesze cudzoziemców wykupujących za wła-

⁶ Głównie w ten sposób tłumaczono w PRL spadek siły nabywczej pieniądza – przyp. tłum.

sne waluty, lub złoto, niemieckie produkty po cenach niższych niż w swoich własnych krajach.

Począwszy od 1939 roku, wzrost cen w Stanach Zjednoczonych przypisywany jest nieustannie niedoborom towarów. Tymczasem statystyki dowodzą, że wskaźnik produkcji przemysłowej w 1977 roku był sześciokrotnie wyższy niż w roku 1939. Nie ma też większego sensu twierdzenie, że wzrost cen w czasie działań wojennych wywołany jest wyłącznie niedoborami produktów *cywilnych*. Mimo iż w czasie wojny podaż produktów cywilnych znacznie spada, powstały niedobór nie powoduje jakiegoś znacznie większego wzrostu cen, gdyż podatki pochłaniają taką samą część dochodów ludności, o jaką zbrojenia i działania militarne ograniczają produkcję na cele cywilne.

W ten sposób dochodzimy do kolejnego nieporozumienia. Ludzie często utrzymują, że deficyt budżetowy jest sam w sobie wystarczającym i koniecznym powodem powstania inflacji. Tymczasem, jeśli deficyt budżetowy jest w całości finansowany ze sprzedaży obligacji rządowych, za które płacimy pieniędzmi pochodzącymi z oszczędności ludności, inflacji nie spowoduje. Z drugiej strony, nawet nadwyżka budżetowa nie chroni nas przed inflacją. Dowodzi tego sytuacja, jaka miała miejsce w roku fiskalnym zakończonym 30 czerwca 1951 roku kiedy – *pomimo* nadwyżki budżetowej w wysokości 3,5 miliarda dolarów – mieliśmy do czynienia ze znaczną inflacją. To samo zjawisko obserwowaliśmy w latach rozrachunkowych 1956 i 1957. (Od 1957 roku mamy już tylko do czynienia z deficytem budżetowym, z jednym wyjątkiem⁷, w 1969 roku, ale mimo to nawet wtedy ceny rosły.) Deficyt budżetowy ma charakter inflacyjogenny o tyle, o ile powoduje wzrost w podaży pieniądza. Inflacja natomiast może się pojawić nawet przy nadwyżce budżetowej, jeśli towarzyszy jej wzrost podaży pieniądza.

⁷ Nadwyżka budżetowa, jaka miała miejsce rzekomo w czasie prezydentury Billa Clintona, w latach 1996–2000, była iluzją wywołaną najprawdopodobniej wykorzystaniem funduszy emerytalnych z tzw. Social Security Trust na cele budżetowe – przyp. tłum.

Podobny łańcuch przyczynowo-skutkowy stosowany jest do tzw. „presji inflacyjnej”, a w szczególności do rosnącej „spirali płacowo-cenowej”. Jeśli zjawiska te nie były poprzedzone podażą pieniądza, jeśli nie towarzyszyła im ona lub nie nastąpiła bezpośrednio po nich, inflacji one nie spowodują, a co najwyżej wzrośnie bezrobocie. Wzrost cen, któremu nie towarzyszy wzrost gotówki w portfelach obywateli, może co najwyżej wywołać spadek wolumenu sprzedaży. Wzrost płac i cen jest zwykle *konsekwencją* inflacji. Mogą ją one wywołać jedynie wtedy, gdy wywołają wzrost podaży pieniądza.